

DYSKUSJE I POLEMIKI

Henryk Ślabek

Warszawa

Polski realny socjalizm a społeczeństwo i naród 1945–1989 (w związku z wybranymi publikacjami)*

Rozpraw i wypowiedzi Leszka Kołakowskiego, Andrzeja Paczkowskiego, Jadwigi Staniszkis, Andrzeja Walickiego i innych autorów nie będę tutaj omawiał. Trzeba natomiast się do nich odwoływać, konfrontować je w kontekście następujących problemów:

1. Sposoby i podstawy badania, charakteryzowania grupowych postaw — świadomości, zachowań, działań.

2. Terminy–pojęcia: Rewolucja — kontrrewolucja — totalitaryzm.

3. „Historia żywa” — jej uwarunkowania, cechy, szanse rewizji.

4. Narracja czy analiza.

5. Dwa obrazy „komunizmu”: do i od połowy lat dziewięćdziesiątych.

Z oczywistych powodów na moją wypowiedź musiały się złożyć maksymalne skróty myślowe, raczej konspekt problemów, większego zestawu pytań, wątpliwości i zastrzeżeń niż pozytywnych rozwiązań.

Z wielu względów najpierw i obszerniej przyjdzie się nam odnieść do ostatnio opublikowanej rozprawy prof. Andrzeja Friszke: *Polska. Losy państwa i narodu 1939–1989* (Warszawa 2003).

Zacznijmy od uwag dotyczących trzech członów właśnie tytułu: losy — cezura — naród.

Losy? Wątpliwości nasuwają już intuicyjne odczucia: losy bowiem z reguły kojarzymy z dołą i niedołą, a te z kolei przypisuje, wiąże się nie z przedmiotami historii, lecz jej podmiotami, z istotami żywymi, myślącymi i przeżywającymi swe trwanie. Losy narodu — tak, lecz losy państwa, czy ściślej władzy? Brzmi to dość dziwnie, sztucznie. Zatem losy jako tytuł łączny, ogólny też raczej nie jest trafny.

Cezura 1939–1989? Nie wydaje się ona merytorycznie uzasadniona, akurat losy narodu są podczas wojny i po niej różne, by nie powiedzieć — przeciwstawne. Można być zaskoczonym nie samą cezurą, ponieważ historycy — koledzy Profesora od dawna i konsekwentnie ją lansu-

* Na podstawie wprowadzenia do dyskusji na tenże temat, wygłoszonego 27 X 2003 r. na zebraniu Towarzystwa Naukowego im. Adama Próchnika.

ją, lecz tym, że powtórzył ją również Andrzej Friszke, który jako pierwszy i jak dotychczas bodaj jedyny spośród historyków swego pokolenia pisał o wyzwoleniu z 1945 r. bez cudzysłowu, dodając, że Polska powojenna kreowała warunki, które nie tylko sprzyjały zachowaniu narodowej substancji, lecz ponadto wywoływały procesy rozwojowe, narodotwórcze.

Na marginesie: właśnie z tego m.in. powodu wyróżniałem w recenzji relatywnie znakomitą książkę Profesora o opozycji politycznej¹. Zapewne owe oceny nie wszystkim kolegom przypadły do przekonania. Czyżby i sam autor ze swych wcześniejszych ocen się wycofywał, o czym pośrednio mogłaby świadczyć owa niejednoznaczna cezura?

Naród w tytule, a w książce? Czy godzi się tytułem stawiać na równe nogi naszych patriotów, szowinistów i nihilistów po to, by im wszystkim pokazać język? Przecież w samej pracy, w jej zasadniczej części o naszych dziejach po 1944 r., o narodzie pisze się śladowo. Nie poświęca się narodowej problematyce ani jednego rozdziału, czy choćby paragrafu, a w zakończeniu — przynajmniej bezpośrednio — bodaj ani jednego zdania. Sprawa jest tym „poważniejsza”, że wśród zawiedzionych znalazł się również spisujący te żale.

W czym rzecz? W 1994 r. wygłosiłem obszerny referat na temat: *Powojenne przemiany a narodowa kondycja Polaków*. Referat opublikowano w „Dziś” i „Dziejach Najnowszych” (1995, nr 4, s. 109–119). I co? I nic. Cisza — do dziś. Ani słowa o referacie, czy — uwaga — prawie nic o samym narodzie. Dlaczego? Kilka domysłów.

Referat przemilczano dlatego być może, że jego naczelną tezę — jak na ów czas obrazoburcza, zgola prowokacyjna — brzmiała: żadna Polska (nie mylić z zasługami–grzechami kolejnych rządów) ani spośród tych sprzed 1939, ani ta rodem z 1989 r. — nie była i nie jest tak głęboko, autentycznie narodowa, patriotyczna i chrześcijańsko–ewangeliczna, jak Polska Ludowa. To straszne? Tak, powyższe zdanie bowiem chciano odbierać nie jako stwierdzenie obiektywnego wyniku powojennego procesu historycznego, lecz jako dążność autora (moją) do „wybielania” czasów komuny i przynajmniej pośredniego oczerniania tego, co nowe, nieskazitelne. A z jakich względów tak jawnie stronnicze reakcje manifestowano. Z bezinteresownego przekonania? Niekoniecznie.

Jak można było odnieść się rzeczowo, uważnie do tego rodzaju ocen, choćby tylko jako hipotez w czasie, kiedy historyka rozliczano i nagradzano z perspektywy jego udziału w propagandowej agresji na „komunistyczną” przeszłość, a nie w odtwarzaniu–tworzeniu prawdy historycznej. Że to niemożliwe, bo wprowadzono przecież wolność badań, powszechną, zapewnioną każdemu historykowi dostępność do źródeł, wreszcie jednakową miarę odpowiedzialności? Wolne żarty. Nadal istniała cenzura, nie państwowa oczywiście, lecz ta bardziej skuteczna — środowiskowa. Dobrze się też miewała autocenzura — tyle, że ta z okresu po 1989 r. pustoszyła historiografię bodaj w stopniu wyższym niż w latach 70. czy 80. (gdzieś się zapodziały dyskusje, ale wielogłos historyczny pozostał, a że na jedną trąbkę? To naturalne — odpowiadano — bo to wymóg nowoczesności, nowych czasów). Tylko wybrani historycy cieszą się dostępem do dokumentów, nie tylko w archiwach prywatnych, kościelnych. Więcej, „słuszni” i „niesłuszni” historycy, już z racji właśnie takiej ich klasyfikacji, nie mieli jednakowego dostępu do miejsc i warunków zatrudnienia (w IPN np. znaleźli się tylko ci w zawodzie najlepsi?), a także, bywało, do samych stopni i tytułów naukowych².

¹ Znalazła się też ona w zbiorze moich artykułów: *Inaczej o historii Polski 1945–1989*, Warszawa 2000, s. 103–114.

² O niektórych z tych zjawisk ostatnio pisał m.in. ks. prof. Zygmunt Zieliński, *Kościół w Polsce 1944–2002*, Radom 2003, s. 5–15 i in.

Ale dlaczego nadal tak niewiele, powściągliwie pisze się o dziejach samego narodu? Z powodów, o których była mowa, choć chyba nie tylko. Miliony ludzi, którzy pamiętają czasy PRL, i dysponują tym samym możliwością porównań, zdrowy rozsądek prowadzi do konkluzji sprzecznych z aktualnym po 1989 r., tzw. zamówieniem społecznym. Być może stąd i władza, i „urzędowi” historycy z coraz widoczniejszą determinacją unikają samych pytań, które by ożywiały problematykę narodu czy — jak ostatnio — niechby i tylko suwerenności lub niepodległości.

A jaki obraz losów narodu — wprawdzie pośrednio i być może wbrew intencjom autora — wyłania się z książki? Bardzo fragmentaryczny i zarazem mało przekonujący, bo jest on oparty na argumentach bądź nie zawsze weryfikowanych krytycznie, bądź — zdarza się — pozornych, wprowadzających w błąd.

Oto przykładowe argumenty z rzędu wątpliwych.

Przykład pierwszy. Polska powojenna przegrywała, ponieważ pod względem poziomu cywilizacyjnego nie udało się jej odrobić dystansu do rozwiniętych krajów europejskich, choć, przyznaje autor, w latach 60. i 70. ten dystans zmniejszała (s. 481). Samo owo twierdzenie i jego statystyczne uzasadnienie najpierw, w 1990 r., formułował prof. Andrzej Jeziński. Podkreślam, w 1990 r., bo wcześniej samego Jezińskiego stwierdzenie tegoż stanu rzeczy ani nie dziwiło, ani tym bardziej — inaczej niż autora — nie skłaniało do wytaczania zarzutów, które by sugerowały strukturalną, permanentną niewydolność naszej powojennej gospodarki (s. 481 i in.).

Ową niewydolność wiąże Friszke z tym m.in. — co wielokrotnie podkreśla — że Polska izolowała się gospodarczo od Zachodu. Tymczasem w innych partiach książki sam przytacza dane na to, jak szybko owo upragnione otwarcie się na tzw. rozwój zależny, rujnowało naszą gospodarkę lat 70. i 80. (zob. s. 360–361, 436 i in.).

Argument drugi. Działo się kiepsko, bo w pewnych okresach Polak coraz mniej wytwarzał — miernikiem tego pozostawał dochód narodowy, jego wielkość — zarabiał i wydawał, ergo — w domyśle — jego marna egzystencja stawała się jeszcze cięższa. A skąd o tym wiadomo? To względnie proste; z przeliczenia określonej waluty, w naszym wypadku polskich złotych na dolary USA (s. 480–481). Tymczasem tę metodę przeliczeń — a do niej właśnie pośrednio odwołuje się również autor — bodaj już od końca lat 70. dość powszechnie zaliczano do oczywistych nieporozumień. Zamiana relacji kursowo-walutowej na relację: krajowa waluta a jej siła nabywcza na tzw. rynkach miejscowych sprawiała cuda na skalę, bez przesady, globalną. Dochód narodowy Chińskiej Republiki Ludowej np. odpowiednio do nowych obliczeń statystyków USA z dnia na dzień powiększono czterokrotnie. Oczywiście, również ta druga metoda nie ustrzeże nas do końca przed błędami, manipulacją, zafałszowaniem.

Argument trzeci. Odniesienia i wyniki porównań stanu społeczno-gospodarczego Polski i peryferyjnych krajów Europy (por. s. 266, 480–481). Autor niekiedy tak konstruuje porównania, że prowadzą one czytelnika do wniosku, iż po wojnie Polska przegrywała rywalizację również z grupą krajów peryferii zachodnich. Więcej, dzieć się tak miało — co wprawdzie nie jest powiedziane wprost — z tego względu, że nasz ustrój społeczno-gospodarczy był socjalistyczny na obraz i podobieństwo ZSRR (por. s. 186–187, 263–264 i in.). Oto przykłady porównań i wniosków, w moim przekonaniu nie dość precyzyjnie formułowanych lub zgoła chybionych:

Przykład 1. Jeśli — jak to jest w pracy — podstawę sugestii i stwierdzeń ogólnych stanowią wyniki porównań społeczno-gospodarczego stanu Polski i krajów peryferii z końca lat 80., to tym samym już w punkcie wyjścia popełnia się grzech jednostronności. Skądinąd przecież wiadomo, że w dziewiątej dekadzie, kiedy nasza gospodarka, zresztą w obozie wschodnim bodaj jako jedyna (s. 265, 325, 436 i in.) tkwiła w stagnacji lub w wielu wypadkach cofała się, w krajach peryferyjnych trwał rozwój, którego tempo, co więcej, na ogół było szybsze od tego z lat 70.

i wcześniejszych. Ponadto lata 80. były dla krajów peryferyjnych wyjątkowo pomyślne; wtedy, z nastaniem sezonu letniego już miliony mieszkańców bogatej Północy ciągnęły na Południe (turyści, wczasowicze). Zbawienny wpływ owych wędrówek — jak również w miliony idącego zjawiska *gastarbeiterów* — na zatrudnienie, dochody, zamożność ludności oraz na wszechstronny rozwój krajów peryferii jest oczywisty, trudny do przecenienia. Te i im podobne okoliczności jako istotne dla wymowy porównań należałoby koniecznie uwzględnić; nie tutaj i nie teraz oczywiście.

Do krajów peryferyjnych zalicza się: Hiszpanię, Grecję, Portugalie, tylko niekiedy i Włochy. Tymczasem autor, przyjąwszy drugi wariant, najczęściej przyrównuje Polskę do najlepiej rozwiniętych Włoch, względnie tylko do Hiszpanii, która pod względem stopnia rozwoju lokuje się na pozycji drugiej. Przy tym porównania są wrywkowe i niekiedy dokonywane w sposób dość dowolny. W książce wskazuje się np. trafnie, że w sektorze rolnym Polski odsetek zatrudnionych był ponad dwukrotnie wyższy niż w Hiszpanii. Ale pominięto dla oceny nie mniej zasadniczy fakt, że wskaźnik (odsetek) mieszkających w miastach kształtował się odwrotnie, był korzystniejszy dla Polski (s. 480).

Polska nawet w końcu lat 80. — dopowiedzmy to — miała wyższy wskaźnik społecznej modernizacji i konsumpcji, niż Portugalia i Grecja, a niewiele — i to tylko w niektórych dziedzinach — ustępowała Hiszpanii. Już ten fakt, wydawać by się mogło, powinien był skłaniać autora do rewidowania wielu pochopnych, negatywnych ocen. Dla historyka ciągle bardziej użyteczna i bezpieczna wydaje się tradycyjna metoda porównań konkretnych wskaźników: spożycia (np. żywności), zużycia (energii, środków czystości), wykorzystania (środków komunikacji), wskaźników dotyczących oświaty i kultury, bezpieczeństwa socjalnego itp.³

Wreszcie, w związku z tytułem, ostatnie dwa stwierdzenia.

Jak się ma tytuł książki do jej treści? Tytuł więcej zapowiada, niż książka oferuje i psychologicznie o tyle jest nietrafiony.

A jaki tytuł podsuwają faktyczne treści książki i jaki, w stosunku do nich, byłby bardziej adekwatny? Następujący: *Historia państwa (czy może tylko władzy) i stosunków politycznych (ew. społeczno-politycznych) w okresie wojny i powojennym (do 1989 r.)*. Takie przeformułowanie rozwiązuje m.in. kontrowersyjny problem cezury, którą — jak się domyślam — mogły autorowi narzucić banalne okoliczności o charakterze porządkowym (autor w jednym, trzecim, tomie musiał pomieścić historię lat 1939–1989?).

Sposoby i podstawy badania, charakteryzowania grupowych postaw — świadomości, zachowań, działań

Skala pomiaru. Na owej skali zdecydowanie górują opór i przystosowanie. Nieporównanie gorzej, rzadziej są prezentowane pojęcia–terminy: akceptacja i identyfikowanie się (zob. s. 271–273, 433–434, 443–444 i in.). W odpowiedzi na pytania: akceptacja czego? i identyfikacja z czym?, należałoby — jak sądzę — odpowiadać konkretnie i rozdzielnie w następujący sposób: akceptacja systemu rządzenia (władzy) i akceptacja systemu ustrojowych wartości. A nie ogólnikowo — akceptacja systemu lub — tylko niekiedy — systemu politycznego. Dokładnie to samo winno dotyczyć odpowiedzi: z czym się identyfikowano? (zob. s. 214, 272, 364–65, 383, 402, 425, 443, 475–476).

³ O sprawach wyżej zaznaczonych pisałem kiedyś w „Dziejach Najnowszych” (1993, nr 3, s. 57–71) w artykule *Powojenna infrastruktura bytowania i demograficzny potencjał Polaków (na tle porównawczym)*, a analogiczny artykuł mojego autorstwa nt. porównywalnych wskaźników modernizacji i nowoczesności gospodarki i struktury społecznej ukaże się w 2004 r.

W wypadku grupowych–zbiorowych badań świadomości — postaw, zachowań i działań wyżej poczynione rozróżnienia terminologiczne wydają się ważne również z praktycznego punktu widzenia. Podsuwają one bowiem dodatkowe pytania i ściślejsze odpowiedzi.

W oficjalnej historiografii np. wydarzenia, szczególnie te z lat 80. — konflikty, strajki, demonstracje itp. — postrzega, tłumaczy i oświecla się według powtarzanego, niejako z góry założonego dwubiegunowego schematu: z jednej strony system (obowiązkowo „komunistyczny”), a z drugiej — społeczeństwo (obowiązkowo całe). Jeśli przez system będziemy rozumieć system rządzenia (władzy), to zgoda, a jeśli system ustrojowych wartości, to już nie, bo robotnicy np., inaczej niż ówczesne elity majątkowo–inteligentkie, zwalczali tylko system władzy, w dodatku z pozycji obrony i pogłębiania ciągle im bliskich socjalistycznych wartości. Nieprzypadkowo po 1981 r. drogi elit i robotników szybko się rozbiegały. Ten proces trwa zresztą po dzień dzisiejszy (do sprawy powrócimy).

Podstawy badań. Przy ich opracowywaniu priorytet zachowują archiwalia i dorobek historiografii; oczywiście tradycyjnej, bo dotychczas innej ciągle nie mamy. Natomiast do odtwarzania sfery świadomości, postaw i zachowań zdecydowanie bardziej efektywne, przydatne jest korzystanie z dokumentacji bezpośrednio wytworzonej przez podmioty badane (jednostki i konkretnie identyfikowane grupy ludzi). Trzeba więc uwzględniać dokumenty autobiograficzne czy — szerzej — tzw. własne oraz dorobek wielu innych nauk społecznych (socjologii, psychologii i antropologii społecznej, ekonomii).

Na marginesie pytanie–refleksja: Kiedy tak konsekwentnie jak po '89 roku ignorowano akurat znaną i docenianą w świecie szkołę Znanickiego–Chałasińskiego, wspartą właśnie na dokumentach autobiograficznych (dziennikach, życiorysach, listach, relacjach, wspomnieniach itp.)? Kiedy? Na przełomie lat 40. i 50. Czyżby po 1989 r. urzekł uczonych Adam Schaff w starym, ówczesnym wydaniu? Oczywiście nonsens. Najprawdopodobniej więc, paradoksalnie, po prostu powtórzyły się w jakimś sensie i sytuacja, i tzw. zapotrzebowanie społeczne.

Po przełomach, zarówno z lat 40., jak i 80. trzeba było ludziom wytłumaczyć, jak oni naprawdę myślą, co jest dobre, a co złe, co piękne, co dla nich korzystne, z czego się mają cieszyć, a czym smuć. Nieprzypadkowo, logicznie, również po roku '89 pojawiły się terminy–pojęcia: „społeczeństwo przypadkowe”, „społeczeństwo cierpiące na amnezję” jak naprawdę było wcześniej w PRL. Było też „społeczeństwo niewdzięczników” najpierw wobec uwalniających je od kapitalistycznego jarzma, a później — od totalitarnego piekła. Z interesującego nas punktu widzenia różnica była taka, że po 1989 r. niepoprawnym ust nie zamknięto, lecz ich głos i tym razem został zduszony, niestety także, aczkolwiek pośrednio, z udziałem historyków. I ci, niekiedy być może nieświadomie, ciągle woleli i wołają innych pouczać, niż słuchać. Pocieszamy się: przecież to nie tylko nasza, historyków, osobliwość. Czy jednak warto? „Rządowy program z końca 1989 r. — w zasłużenie drwiącym tonie, precyzyjnie pisał Jerzy Szacki — wspierał się na przyjętym milcząco założeniu, iż ludzie w naturalny niejako sposób skłonią się do gospodarki rynkowej i liberalnej demokracji, jeśli zaś fakty świadczą na razie o czymś przeciwnym, nie dowodzi to w istocie niczego poza tym, że zostali przejściowo ogłupieni przez socjalistyczną ideologię lub długotrwałe życie w warunkach realnego socjalizmu”⁴. Jak długo jeszcze będą wyniosłe ignorowane świadectwa własne milionów ludzi o ich losach, drogach myślenia i wartościowania, o tym, co widzieli i widzą, czego doświadczali kiedyś i potem?

W książce Andrzeja Friszke nie jest aż tak źle lub dobrze (to rzecz gustu). Niemniej w rozprawie o losach narodu chciałoby się przynajmniej więcej pytań w rodzaju: Co o narodzie

⁴ J. Szacki, *Nauki społeczne wobec wielkiej zmiany*, w: *Zmiana społeczna. Teorie i doświadczenia polskie*, red. J. Kurczewski, Warszawa 1999, s. 131.

przed 1989 r. myśleli np. chłopci. Czy odchodzili od pojęć „narodu chłopskiego” i „narodu panów”, którzy tym pierwszym gardzą? A czy i ewentualnie co się zmienia w postrzeganiu narodu przez przykładowo: autochtonów, repatriantów, reemigrantów i ich potomków? Nie będzie zapewne merytorycznej odpowiedzi na fundamentalne pytania bez użycia przez historyków współczesności dodatkowych technik badawczych, bez wywoływania przez nich samych źródeł, bez właściwego adaptowania wyników pokrewnych dyscyplin naukowych, bez opracowania historii społeczeństwa i wreszcie bez uznania i rozwijania historii społecznej; spośród nauk historycznych najtrudniejszej i, choć ważnej, również obecnie najbardziej unikanej, zanedbywanej. Na marginesie uwaga: akurat właśnie historii społecznej nie udało się sforsować granicy wolności; jej zarys — z możliwych najlepszy, bo pierwszy — mimo sześciu pozytywnych recenzji (prof. prof. Z. Landaua, W. Markiewiczza, J. Szczepańskiego, J. Topolskiego, A. Werblana, S. Żółkiewskiego), na początku 1990 r. zdjęto z maszyn drukarskich, gdyż Ministerstwo Nauki cofnęło dotację⁵. Pozostał mi na pamiątkę egzemplarz szcrotki. W tym samym czasie, z identycznych powodów, przerwano też druk mojej książki o kwestii chłopskiej w Polsce (1882–1975).

Terminologia. Rewolucja — kontrrewolucja — totalitaryzm

Rewolucja. Wokół tego terminu–pojęcia odbywają się jakieś dziwne harce–swawole, które nie ominęły również uczonych wysokiej klasy, np. samej prof. J. Staniszkis. W jej ostatniej książce, tutaj nas szczególnie interesującej⁶, termin „rewolucja” nie zawiera żadnej określonej treści. Rewolucją jawi się wszystko, co komuś wydaje się ważne. Pojawia się tutaj nawet „rewolucja odgórna” czy „rewolucja wojskowa”.

Wydaje się, że przyczyna zamieszania bywa też trywialna. Jeśli są kłopoty z wyborem właściwego określenia np. spośród terminów: kontestacja — odmowa posłuszeństwa — bunt — rewolta, wtedy, na wszelki wypadek, stosuje się zastępczo, czyli tym samym już nic nie znaczący termin: rewolucja. Można i tak, lecz powstaje kłopot. Czy uczeni mają lub mogą przekreślać dotychczas akceptowane znaczenie, definicję określeń: rewolucja, przewrót rewolucyjny, przewrót, przełom, zamach polityczny? Czy kontrrewolucja — restauracja? Czy można, należy rozstać się przykładowo z historycznymi treściami zdań—oznaczeń: Rewolucja Październikowa czy Wielka Rewolucja Francuska?⁷

W tym wypadku również książka prof. Friszke nie jest wolna od grzechu pewnej dowolności. Autor nawet całym rozdziałom nadaje tytuły: *Rewolucja „Solidarności”* albo — *Od kontrrewolucji generałów do okrągłego stołu*. Wydaje się, że nawet wydarzeń roku 1989 r. nie można określać mianem rewolucji, gdyż — o czym już pośrednio mówiłem — w ten sposób komplikuje, zamazuje się ich rzeczywisty sens⁸.

Wiele wskazuje na to, iż mamy do czynienia z nieprzypadkową relatywizacją pojęć; czyżby i nasi historycy ulegli manierze dziś już na ogół lekceważonego na świecie postmodernizmu?

Dość inny mam też pogląd na totalitaryzm (por. s. 170, 174, 175, 185, 201, 473). Wołę interpretację Hanny Arendt niż cytowanych z uznaniem Zbigniewa Brzezińskiego czy zwłaszcza

⁵ Recenzje oraz głos autora, ustosunkowujący się do opinii recenzentów i dyskutantów, opublikowano w „Dziejach Najnowszych” 1991, nr 1, s. 65–81.

⁶ J. Staniszkis, *Postkomunizm. Próba opisu*, Gdańsk 2002.

⁷ Na zrelatywizowanie powyższe przemożny wpływ wywierała i wywiera zapewne rozprawa H. Arendt *O rewolucji*. W 1966 r. zasadniczo polemizował z autorką sam Jürgen Habermas (zob. *Opowieść o dwóch rewolucjach*, „Gazeta Wyborcza”, 18–19 X 2003, s. 20–21).

⁸ O tych problemach piszę obszerniej w artykule *Polski rok 1989: rewolucja — przewrót — restauracja?*, „Dzieje Najnowsze” 2003, nr 4.

Antoniego Dudka. Źródła i istota totalitaryzmu to nie tylko cele dyktatorskiej władzy i socjotechnika ich osiągnięcia (z definicji naganne intencje i masowy terror fizyczny). Pierwsza i szczególnie cecha rewolucji socjalistycznej to, zwłaszcza na jej początku i wśród młodzieży, na polu żywiołowe szerzenie się tyleż irracjonalnej, co i szlachetnej idei, misji społecznej. I tym głównie, jak wiadomo, również Hanna Arendt tłumaczyła dla niej oczywistą nietożsamość dyktatury Stalina i Hitlera.

Na miejscu autora, nie przejmując się dziś już zwietrzalymi prawdami—wyrokami *Czarnej księgi komunizmu*, sprawy totalitaryzmu rozważałbym i opisywałbym w kontekstach akceptacji i utożsamiania się ludzi z systemem społeczno—ustrojowych wartości i równoczesnego ich krytycyzmu, a później i jawnego buntu przeciw systemowi rządzenia (władzy). Była tego przykładem sama „Solidarność” sprzed stanu wojennego. Pierwsza „S” jako rzeczywista reprezentacja robotnicza zbuntowała się przeciw władzy — jej aparatowi. Ale w imię właśnie jeszcze powszechniejszego, głębszego egalitaryzmu społecznego i o tyle przynajmniej w imię rozwijania sytuacji w kierunku skrajnie lewicowym.

Czy w 1980–1981 r. robotnicy występowali przeciw systemowi rządzenia (władzy)? — tak. Czy byli przeciwni socjalizmowi w ówczesnym, polskim wydaniu? — przeważnie tak. Czy zwalczali samą wizję socjalizmu jako systemu wartości? — nie. Czy optowali na rzecz kapitalizmu? — zdecydowanie nie, ponieważ kojarzyli go sobie z obrazem polskich stosunków międzywojnia⁹.

Na upartej można by powiedzieć, że powyższy wywód—odpowiedź na w tym wypadku występujące w rozprawie przysłowiowe „pomieszanie z poplątaniem” to z punktu widzenia zadań i warsztatowych potrzeb historyka czeza abstrakcja. Niezupełnie.

Przy wyżej poczynionych rozróżnieniach—uściśleniach, choćby tylko terminologicznych, autor nie poprzestałby zapewne na opisach, uogólnionych w równie nieprzejrzystej, dezorientującej formule: „Magiczne myślenie twórców systemu — pisze A. Friszke (s. 477–478) — przejawiało się w nadziei stworzenia bazy społecznej ustroju przez pomnożenie szeregów wielkoprzemysłowej klasy robotniczej i stworzenie wielkich jej skupisk. W konsekwencji okazało się, że wielkoprzemysłowa klasa robotnicza jest szczególnie skłonna do podejmowania czynnego protestu, a jej koncentracja w wielkich zakładach utrudnia ignorowanie i spacyfikowanie ruchów sprzeciwu. Tak więc system stworzył warstwę, która ostatecznie doprowadziła do jego likwidacji”.

Jak widać użycie słowa system jako zbitki pojęciowej powoduje, że przytoczone zdania mogą równocześnie czytelnika informować i dezinformować, odtwarzać rzeczywistość prawdziwą i wymagowaną. Nie socjalizm (jako system) stworzył ową klasę (zwłaszcza w rozwiniętym kapitalizmie jej nie było?), ale władza. Nie owa klasa chciała likwidować i likwidowała socjalizm (jako system społecznych wartości)¹⁰. Ewentualność nieporozumień znika przez dodanie w ostatnim zdaniu jednego słowa. Piszemy: „Tak więc system [władzy] stworzył warstwę, która ostatecznie doprowadziła do jego likwidacji”.

Historia żywa — jej uwarunkowania, cechy, szanse rewizji

O przeszłości sprzed roku 1989 r. istnieją obecnie coraz bardziej rozbieżne, a w wielu wypadkach już wręcz wykluczające się dwie prawdy: prawda aktualnie „słusznych historyków” i prawda pracowniczego pospólstwa, czyli większości społeczeństwa, zresztą bodaj ciągle rosnącej.

⁹ Stwierdzenia oparto na bogatej dokumentacji socjologicznej z lat 80., szczególnie na wynikach badań prowadzonych pod naukowym kierownictwem prof. Stefana Nowaka.

¹⁰ Zob. J. Staniszkis, *Postkomunizm...* i inne opracowania oraz mój *Polski rok 1989...*

Mówiąc adekwatnymi kategoriami terminologicznymi, z grubsza biorąc mamy dwa obrazy losów narodu: obraz historyków i wpisującej się weń większości elit oraz obraz pozostałej części Polaków. Który z nich jest bliższy rzeczywistości, bardziej do niej przystaje? Jednak raczej nie ten niepodzielnie panujący w historiografii i mass mediach. Może tak być z kilku względów.

1. Zaczniemy od samopocieszenia się, od oczywistego faktu, że mamy do czynienia z historią szczególną, „żywą”, która działa — dzieje się na oczach i z udziałem czterech pokoleń XX w.: roczników 1900–1920, 1921–1940, 1941–1960, 1961–1980.

2. Milionowi aktorzy „historii żywej” są przekonani, że wiedzą i pamiętają lepiej, jak im się wiodło, jak myśleli, wartościowali, jakie mieli zmartwienia i nadzieje, czy rzeczywiście żyli w obozie, tyle tylko że w jego „weselszym baraku”.

3. Rosną szansę na dalsze korekty i bardziej zobiektywizowany obraz czasów Polski Ludowej, gdyż w rosnącym stopniu określają je masowe zachowania, choćby te wyborcze. Przykład? Wygłosił Andrzej Lepper radiową, przedwyborczą mowę w duchu: Mało, że „puścili naród bez portek”, to jeszcze i z godności naszych życiorysów próbują nas obedrzeć. Czy nie w związku z nią także w wyborach samorządowych „Samoobrona” zdobyła drugie miejsce, znakomicie redukując dystans dzielący ją od SLD?

4. Krzykliwa, totalna negacja przeszłości samym politykom zaczyna przeszkadzać, a tym samym doskwierać również „słusznym historykom”.

Już z wymienionych tutaj względów wynikałoby, że historiograficzny obraz PRL będzie nadal, tyle że być może w szybszym tempie, tonizowany i zmieniany na bliższy społeczeństwu i jego prawdzie.

Nasze przypuszczenia—hipotezę, obok potocznych obserwacji, zdają się uwiarygodniać także metodologiczne wskazówki z rodzaju:

- o samym wizerunku „żywej historii”, nie mówiąc o możliwościach utrwalenia się jej określonej wersji, ostatecznie decydują nie tyle archiwalia i zawodowa sprawność tradycyjnego historyka, co codzienna rzeczywistość czasu następującego.
- z pewną emfazą i uproszczeniem można by powiedzieć: „historię żywą” przede wszystkim pisze terażniejszość już dlatego, że to właśnie ona formułuje zwrócone ku przeszłości pytania; a te — jak słusznie pisał Witold Kula — wywierają ogromny, niekiedy rozstrzygający, wpływ na kształt odpowiedzi. Nie uszczegółowiane opisy i archiwalia decydują o wizji i syntetycznych obrazach historycznych, fakty bowiem — pisał obrazowo W. Kula — „tak tańczą, jak im pytania grają”¹¹.

Wreszcie zastanówmy się najogólniej nad szczególnymi rysami „historii żywej” z punktu widzenia osobowości i osobliwości piszących ją historyków. W wypadku tej historii — jej ogólnej wizji, a nie sposobu relacjonowania bardziej lub mniej szczegółowych faktów — wyjątkowo mocno liczą się: wiek historyka oraz jego osobiste i środowiskowe doświadczenia.

Przecież skądinąd wiemy i na ogół dzielimy przekonanie, że w okresach o przyspieszonym rytmie wydarzeń każde pokolenie ma, pisze własną historię, własną wersję współczesności. Rzecz w tym, że historyk dziś względnie młody lub w średnim wieku, pisząc o pokoleniach ludzi aktywnych po 1945 r., którzy już przed wojną byli dorośli lub dorastali — w przyjętej tutaj klasyfikacji będą do roczniki 1900–1920 i częściowo 1921–1940 — właśnie z racji swojego wieku jest narażony, w jakimś sensie skazany, na niezawinioną tendencyjność, na prawdy dodatkowo deformowane. Postawy—zachowania i działania ludzi z dwóch czy trzech poprzednich pokoleń bowiem będzie on postrzegał poprzez nie tyle ich, co własny pryzmat odniesień i wartości.

¹¹ Zob. H. Ślabek, *Witold Kula — historia—polityka*, w: idem, *Inaczej o historii Polski...*

W wypadku „historii żywej” — co jest jej drugą osobliwością — możliwość historyka w zrozumieniu i adekwatnym odtwarzaniu postaw, dróg rozumowania podmiotów przezeń badanych — jednostek i grup społecznych w poważnym stopniu zdają się też zależeć od środowiskowych warunków, w których on wzrastał.

Florian Znaniecki, zastanawiając się nad problemem, dlaczego tzw. niehistoryczne grupy narodu długo nie budziły zainteresowań wśród uczonych, pisarzy, artystów odpowiadał, bo na ogół rekrutowali się oni ze sfer osób „dobrze wychowanych”. I dodawał: w przypadku uczonych, na przykład socjologów, etnografów czy antropologów kultury ów brak zainteresowania tłumaczył się również świadomością, że sama ich możliwość badania warstw ludowych była z góry ograniczona właśnie z powodu odmiennego doświadczenia życiowego. Dobrze wychowani — twierdził Znaniecki — znakomicie znają swoją sferę i dobrze, że się nią zajmują. Dobrze w podwójnym znaczeniu. Adekwatniej bowiem od innych opisują środowisko swego pochodzenia i zarazem nie przysparzają nieporozumień i półprawd, których by nie uniknęli, poszerzając społeczny krąg swych badań.

Związane z „historią żywą” komplikacje są widoczne również w książce jeszcze młodego, wychowanego — o ile mi wiadomo — we względnie zamkniętym środowisku inteligenckim Andrzeja Friszke. Przy najlepszych intencjach — jak miemam — z racji systemu wartości nabytych i świadomie wybranych, również autor ma wyraźne kłopoty z „obiektywnym”, tu w znaczeniu autonomicznym, odczytywaniem sfery interesów, racji i zachowań ludzi i grup społecznych spoza inteligenckiego kręgu.

Oto przykładowe, rozbieżne drogi stosowanych odniesień i wartościowania historycznych wydarzeń przez oceniającego i ocenianych (w tym wypadku traktowanych faktycznie bardziej jako przedmiot niż podmiot konstruowanej wersji sensu ich minionego czasu). W najgłębszym przekonaniu autora sfałszowane czerwcowe referendum 1946 r. czy groteskowe wybory ze stycznia 1947 r. i późniejsze jako ze swej istoty naganne musiały rodzić powszechny niesmak i oburzenie. Ergo — rozumuje autor — podejmowane decyzje o własnym uczestnictwie w powojennych farsach wyborczych były refleksem bądź strachu, bądź koniunkturalnych rachub. Z czasem jednak odkładający się osad upokorzenia „musiał” pogłębiać frustrację i niezadowolenie, które w sytuacjach ogólnego napięcia pchały do jawnego sprzeciwu również te kategorie wyborców.

Mam inne skojarzenia i inną wiedzę o interesujących nas tutaj faktach–zdarzeniach, o sposobie ich postrzegania, wartościowania i o reakcjach na nie np. środowiska chłopskiego. Kiedyś zagadnąłem moją matkę: Jak to właściwie było z tym referendum. Czy jest prawdą — pytałem — że owego dnia przybyli do wioski uzbrojeni ORMO–wcy, by pod przymusem dowozić jej mieszkańców do punktu głosowania na odkrytej platformie ciężarowego „gruchota”? Czy nie przerażał was sam widok karabinu? Czy nie domyslano się, że władza wyniki sfałszuje?

Matka odpowiadała: Tak, dowozili nas i to było nawet bardzo dobre, bo nikt nie musiał, jak kiedyś, iść kawał drogi pieszo; a czego byśmy się mieli bać, ci ORMO–wcy to byli dobrzy nasi znajomi z sąsiednich wsi, a że wyniki sfałszują? Pewnie, że o tym z góry wszyscy wiedzieli. Niemniej — wtrąciłem — wyobrażam sobie, jak bardzo „musiało” Wam być przykro i jak bardzo byliście oburzeni. Na to matka — niby czym? No tym całym „cyrklem”, w którym musieliście brać udział. W tym miejscu włączył się ojciec z pojednawczą maksymą: Synu, czemu tu się dziwić: tak było, tak jest i tak będzie. Jak to — tak było..., już z „inteligentka” prawie przepisowo się oburzyłem. Ano tak — odparowała matka następującą opowieścią.

W sąsiedniej wsi, w szkole odbywało się głosowanie, zdaje się że był to rok '30, bo ty już miałeś — pamiętam to — 2 lata. Jak głosowały inne wsie, tego nie wiem, ale my całą wioską byliśmy za ludowcami. A w sali, gdzie głosowaliśmy, ściany były oblepione obrazkami, na których było

widać „drapachę” na długim trzonku, a pod każdym rysunkiem był taki napis: „Jedynka ze wszystkich kątów wymiecie wszystkie śmiecie”. No i wymiotła, niemal wszystko zagarniając dla siebie. A na naszych chłopskich posłów — jak nam ogłosił kierownik szkoły, który tym wszystkim zawiadywał — to z całej gminy głosowały 3 osoby. „Potem, zimą, chłopcy to ciągiem sobie opowiadały i śmiały się do rozpuku”.

Tak, oni niczego nie musieli, nawet gdyby to nie miało się pomieścić w głowie wyrokujących historyków, oni po prostu śmiali się i przed, i po wojnie, nie oni bowiem stanowili o biegu dziejów i — co ważniejsze — nie demokracja polityczna, a już zwłaszcza ta jej forma w liberalnym wydaniu była w ich życiu ważna.

Dla chłopca, w ogromnej większości wypadków żyjącego przed i tuż po wojnie w biedzie lub zgoła nędzy, przede wszystkim ważne były nie wartości „odświętne”, „uroczyste” (wolność — demokracja, a poniekąd i niepodległość; „gdzie chleb, tam ojczyzna” — mawiali), lecz te z rzędu przyziemnych, warunkujących jego fizyczne przetrwanie wraz z rodziną, czyli nade wszystko liczyło się minimum pożywienia i zdrowia. Chłopi i, szerzej, ludzie z pracowniczego społeczeństwa — bezrobotni, większość robotników, rzemieślników i znaczna część szeregowych pracowników umysłowych — wiedzieli swoje: co mi z wolności — powtarzali — jeśli nie mam jak (z czego) żyć, a dla moich dzieci na ich lepszą przyszłość nie ma żadnych widoków. Demokracja nam nie pomoże, ona dobra, ale dla panów, tych ze dworu i z miasta.

Na marginesie uwaga: Bez rozstrzygnięcia pozostanie pytanie: czy rzeczywiście tak było — jak w powyższym wywodzie. A jeśli już, to czy nie jest to polska, w dodatku przejściowa, specyfika. Nie wydaje się. Na tym miejscu jednak trzeba poprzestać na próbie odpowiedzi, stawiając retoryczne pytanie: A w ilu podobnie jak Polska biednych krajach z Europy i pozaeuropejskich panującą formą ustrojową była i jest akurat demokracja liberalna? Wydaje się oczywiste stwierdzenie, że historyk, który przyjmuje ową formę politycznego ustroju jako naczelne odniesienie i kryterium wartościowania zachowań i dążeń ludzi oraz szerzej — polskiego procesu dziejowego, rzeczywistość historyczną utożsamia z życzeniową, wymyśloną. Również pracowniczemu społeczeństwu nie podobała się polska demokracja. Lecz odłamy społeczeństwa, w swoim odczuciu upośledzone, po i zwłaszcza przed wojną buntowały się przeciw akurac nie dlatego, że nie było liberalnych porządków. Im przede wszystkim chodziło o demokrację społeczną, z nią bowiem wiązano nadzieje na odmianę swojej „skundlonej” codzienności — na wyrwanie się ze świata nędzy, upokorzeń, zmarginalizowania i społecznej izolacji. Dlaczego tego rodzaju prawdy, oczywiste i powszechne wśród „milczących” milionów Polaków, z takim trudem przebijają się do świata informacji, w tym i historiografii; zapewne tak się dzieje nie tyle za sprawą barier poznawczych, co pozamerytorycznej reglamentacji, dyktowanej koteryjno-grupowymi interesami, wymuszanej prasą, środowiskową solidarnością.

Narracja czy analiza

Jedna z tych dwóch konwencji rzadko występuje w czystej postaci. Niemniej wyraźny priorytet dla którejś z nich jest stosowany z nie mniejszą częstotliwością. Historycy wyraźnie preferują narrację, a socjologowie np. analizę. Tak jest i w naszym wypadku. Przykład pierwszego wyboru stanowi rozprawa A. Friszke, a drugiego — interesująca nas tutaj książka Jadwigi Staniszkis. Ależ to oczywistość — ktoś powie. Niezupełnie, szczególnie w wypadku tzw. historii żywej.

Andrzej Friszke zdecydowanie hołduje narracji, zresztą w wielu partiach książki znakomitej. I tym razem jednak okazało się, że nie ma jednostronnych rozwiązań bez kosztów. Czy rzeczywiście? Z konieczności skonfrontujemy tylko przykładowe rezultaty, osiągnięte na podstawie tradycyjnej, skądinąd sprawdzonej metody historyka i metody socjologa.

Przekaz Friszkego — sprawny, a w odbiorze sugestywny — konsekwentnie prowadzi autora i czytelnika do wydaje się nieodparcie logicznych, trafnych konstatacji w rodzaju: w 1989 r. totalne zło poniosło ostateczną, totalną klęskę. Na pewno?

Warto się zatrzymać przy samym wyniku czerwcowych wyborów 1989 r., który miał symbolizować i zamykać ów proces klęski. W tym kontekście, już z braku miejsca, trzeba poprzestać na zadaniu kilku wstępnych pytań. Jeśli jest tak, jak twierdzi autor, to:

- dlaczego aż tak wielka była absencja wyborcza (38%), wyższa niż w 1985 r., a nawet niż w 1984 r. w wyborach do rad narodowych?;
- dlaczego na centralnych działaczy obozu rządzącego, kandydujących z tzw. listy krajowej, oddano aż tak wiele głosów (47–50%)?;
- dlaczego już po roku w zwycięskim obozie pojawiła się tzw. wojna na górze? Czy nie dlatego wygrał Wałęsa, za cichym przyzwoleniem również stronników Tadeusza Mazowieckiego, że jedynie on mógł zapobiec wybuchowi robotniczego niezadowolenia z nowych porządków (prywatyzacji, narastającego bezrobocia itp.)?;
- dlaczego w cztery lata po upadku starego systemu władzy (rządzenia) w parlamentarnych wyborach wygrywa Sojusz Lewicy Demokratycznej, czy nie dlatego przede wszystkim, że jego ludzie są atakowani jako „postkomuniści”?;
- dlaczego po powrocie do władzy w 2001 r. SLD jego przeciwnicy z języka własnej propagandy z dnia na dzień wycofali na stałe określenie: postkomunista, postkomuniści?;
- dlaczego, by wyjść poza Polskę, która stanowi przypadek ewentualnie nietypowy, szerzy się zadziwiająca, już nie tylko niemiecko–rosyjska, Ostalgia?

Gdyby Andrzej Friszke zadawał sobie tego rodzaju pytania, jego rozumowanie i zdania ogólne miałyby zapewne charakter bardziej otwarty i precyzyjny, a mniej arbitralny, alternatywny. Wiele z tych postulatów można było spełnić, nie naruszając przyjętych zasad chronologii i historycznej narracji.

A jak się przedstawiają odpowiedzi–argumenty Friszke i Staniszkis na podstawowe pytanie: dlaczego upadł polski „komunizm”?

Najogólniejszy sens odpowiedzi historyka zdaje się sprowadzać, powtórzmy to, do sentencji: komunizm upadł, bo ze swej natury był ekonomicznie niewydolny, a w sferze społeczno–etycznej — po prostu zły (totalitaryzm, kłamliwość, niszczenie tradycyjnych wartości, religii i Kościoła itd.). Na marginesie, już tutaj, uwaga: nie trudno zauważyć, że w tym wypadku Andrzej Friszke, jak wcześniej Wojciech Roszkowski i Andrzej Paczkowski, niedaleko odszedł od interpretacyjnego schematu, który w obozie o antykomunistycznej orientacji był powszechnie i rygorystycznie przestrzegany do czasu ukazania się „Czarnej księgi komunizmu”.

Inaczej wypadł ogląd spraw socjologa. Jadwiga Staniszkis zdaje się sądzić, iż kluczową przyczynę upadku — ściślej upadku swoistego, względnego — stanowił kontrast: z jednej strony ideologiczno–humanistyczna obietnica tak ponętna i piękna, że aż utopijna (dobrobyt, sprawiedliwa redystrybucja dóbr, równość szans, solidarność, wspólnota posiadania–władania rzeczami itp.), a na drugim biegunie — siermiężna, oporna rzeczywistość krajów wyniszczonych wojną, biednych i, z wyjątkiem Czechosłowacji oraz wschodnich Niemiec, zacofanych. Ów kontrast właśnie, to że polscy komuniści stali się zakładnikami własnej obietnicy, ich samych rozbierał, obezwładniał. A w latach 80. sam system czynił „martwą strukturą”, organizmem, który nie mógł dokonywać dalszych postępów, nie sprzeniewierzając się własnym ideałom i ich powiernikom — robotnikom i odłamom społeczeństwa biedniejszym, a przez to z pełnym poczuciem słuszności buntującym się przeciw naruszeniu zasad egalitaryzmu szczególnie ostro. Gdyby ówczesna władza nie miała poczucia, że znalazła się we własnej pułapce, w potrzasku własnego sumienia, gdyby była zwykłą trzecioświatową dyktaturą, fizyczne zduszenie społecz-

nego oporu również w końcu lat 80. nie przedstawiałyby problemu; w dyspozycji kierownictwa pozostawały: ciągle sprawna i zdyscyplinowana armia, bezpieczeństwo, milicja, aparat sądownictwa.

Następne z przykładowych pytanie: kto „obalił” polski „komunizm” jako system rządzenia (władzy) i ustrojowych wartości łącznie?

W tym wypadku wizje historyka i socjologa są wręcz rozbieżne. Według powoływanych tutaj historyków, komunizm zmietli wspierani przez inteligentką awangardę robotnicy. Ta konstatacja jest szczególnie widoczna i bodaj najkonsekwentniej formułowana — co dziwne — w rozprawie z 2003 r., w kilkanaście miesięcy po wydrukowaniu książki Jadwigi Staniszkis.

Autorka tymczasem odpowiadała: Robotnicy — powtórzmy to — wypowiadali posłuszeństwo władzy z powodu, że ta — w ich odczuciu — nie spełniała własnych, zasadniczych obietnic, że w tym sensie zakłamywała rzeczywistość, oszukiwała społeczeństwo, wyradzała się, karłała. Natomiast „komunizm” jako system ustrojowych wartości mógł być i był likwidowany nie za sprawą, lecz wbrew robotnikom, nawet i tym młodszym, występującym przeciw władzy najostrzej. Także młodzi robotnicy — wedle opinii socjologa tyleż wnikliwej, co do dziś w historiografii ignorowanej — już na początku lat 80., nie dopuszczając myśli o prywatyzacji podstawowych działów gospodarki, przeciwstawiali się samym fundamentom przekształceń ustrojowych w kierunku kapitalizmu.

Zauważmy: pomijanie czy ignorowanie oryginalnego dorobku uczonych z kręgu nie historyków — w wypadku „historii żywej” szczególnie niefrasobliwe i niezrozumiałe — nie kończy się na przykładzie prof. Jadwigi Staniszkis. W rozprawach historyków, bodaj z jeszcze dotkliwszą stratą dla ich poznawczych wartości, nie widać choćby śladów głośnych, odkrywczych polemik z lat 80. i następnych cenionego na świecie historyka myśli prof. Andrzeja Walickiego. A profesor zupełnie inaczej — przynajmniej dla mnie wszechstronnie — rozumiał i przedstawiał — jako współczynnik zdarzeń, procesów z lat 60. i późniejszych — polską „Nową wiarę”, terror, rewizjonizm, „komunizm”, demokrację, totalitaryzm, a więc zjawiska—terminy—pojęcia, które składają się, często określają wizję—syntezę—system wartości historycznego dzieła¹².

Dwa obrazy „komunizmu”: do i od połowy lat 90.

W okresie przyjaznych bądź poprawnych stosunków państwowych z ZSRR (lata 40.) w zachodnich śródkach informacji, nie wyłączając nauk społecznych, „komunizm” korzystał bądź z rehabilitacji, czyli dość powszechnego uwydatniania jego zalet (mniej więcej do połowy 1947 r.), bądź ze swoistego prawa łaski — z powstrzymywania się od ataków skrajnych, czy choćby tylko ocenianych jako nazbyt ostre. Sytuacja zmieniła się ostatecznie po uformowaniu dwóch wrogich wobec siebie bloków (powstanie ChRL, blokada Berlina, utworzenie dwóch państw niemieckich, wybuch wojny koreańskiej itd.). Teraz Zachód zawiesza kampanię rozrachunkową wobec nazistów, a następnie, stopniowo, i wobec nazizmu. Nieprzypadkowo w 1951 r. ukazuje się głośna książka Hanny Arendt *Korzenie totalitaryzmu*.

Odtąd ścierać się będą dwie tendencje. Obydwie, akceptując założenie H. Arendt, potraktują komunizm i nazizm jako formacje porównywalne. Na tym jednak przez dłuższy czas zgodność się kończyła. W okresie międzynarodowego odprężenia odnotowuje się jeszcze cechy „komunizmu”, które odróżniały go względnie korzystnie, natomiast tuż po 1989 r. niemal powszechnie będzie głoszony pogląd, iż system „komunistyczny” był równie albo i bardziej zbrodniczy niż faszyzm i nazizm.

Bodaj liderem nowego, osobliwego rewizjonizmu pozostawał od 1986 r. Ernst Nolte. Rewizjonizm ów, wykorzystując falę narastającej od początku lat 80. antykomunistycznej koniunk-

¹² Zob. szerzej: H. Ślabeł, *Intelektualistów obraz własny 1944–1989*, Warszawa 1997, s. 161 i n.

tury, próbował rozjaśniać obraz faszyzmu i nazizmu, relatywizując jego przeszłość. Nolte przekonywał, iż faszyzm hitlerowski nie był złem genetycznie niemieckim, był zjawiskiem wtórnym, o uwarunkowaniach zewnętrznych. Zło rodziła jakoby zwycięska rewolucja bolszewików, w których kierownictwie — na domiar — główne role grali Żydzi.

Przyznawał wprawdzie Nolte, że zagłada żydostwa stanowiła dla nazistów cel samoistny, lecz sam traktował Żydów jako zorganizowaną grupę przeciwników Hitlera, ponieważ byli sprzymierzeni z jego wrogami (z bolszewikami i w 1939 r. z Anglią). A pierwowzoru owej zagłady doszukiwał się w wyniszczeniu rosyjskich burżujów i kułaków. Twierdził ponadto, iż idea Gułagu inspirowała tworzenie obozów, również tego w Oświęcimiu, stanowiących symbol antyżydowskiego ludobójstwa.

Przez dłuższy czas głównym oponentem Noltego był François Furet (od połowy lat 50. eks-komunista). Podzielał zarzuty o masowych zbrodniach komunistycznych jako niczym nie dających się usprawiedliwić (masakra „kułaków” w latach 30., mord w Katyniu, potworności „wielkiego skoku” w Chinach, ludobójstwo w Kambodży) przypominał, iż tylko naziści z wymordowania całego narodu czynili cel sam w sobie, mordowali miliony ludzi tylko dlatego, że urodzili się Żydami, niezależnie od jakichkolwiek zrozumiałych powodów wynikających z walki o władzę.

Komunistów wreszcie, zdaniem Fureta, odróżniała pozytywnie „szlachetność intencji”. W sumie — jego zdaniem — słuszne jest to, że „faszyzm i komunizm nie są potępiane w równym stopniu”.

Zapewne następną cezurą w obrazie historii czasów najnowszych stanie się „Czarna księga komunizmu”, nie dzięki swym szczególnym osiągnięciom poznawczym, lecz wprost na odwrót; wskutek doprowadzenia — we wstępie do niej szczególnie — tendencyjności i uproszczeń do takiego apogeum absurdu, który nie mógł nie wywołać protestów i polemik również ludzi komunizmowi niechętnych, lecz uczciwych intelektualnie. W tym kierunku w listopadzie 1997 r., bodaj jako pierwszy na Zachodzie, zareagował „Le Monde” dwoma artykułami tak znamienymi, że warto je przypomnieć, z konieczności niestety bardzo skrótowo.

W artykule autorstwa dwóch pracowników francuskiego Ośrodka Badań Naukowych (CRNS) — Georges’a Minka i Jeana Szurka — padł zarzut, iż „Księga” utożsamia komunizm z nazizmem, przypominając arbitralne trzy założenia: 1) „zbrodnia klasowa” to tyle samo, „co zbrodnia rasowa”; 2) komunizm to „system przestępczy”; 3) „ofiary czystek [rasowych] czy głodu [w USRR szczególnie] to żadna różnica”. Autorzy, odrzucając podówczas jeszcze niemal obowiązkową konwencję wypowiedzi, nad dedukcję i moralizowanie przedkładali fakty. Odwołując się do nich, pytali: jeśli komunizm był systemem przestępczym, to jak wyłumaczyć zwycięstwa odniesione w wolnych, demokratycznych wyborach Aleksandra Kwaśniewskiego nad Lechem Wałęsą, a Brazauskasa nad Landsbergisem? Dlaczego Amerykanie — politycy i profesorowie — i byli główni opozycjoniści z „Solidarności” prowadzą w Jachrance pod Warszawą wielodniowe dyskusje z symbolizującymi ów „system przestępczy” generałami Wojciechem Jaruzelskim i Czesławem Kiszczakiem oraz z byłymi pierwszymi sekretarzami KC PZPR Mieczysławem Rakowskim i Stanisławem Kanią? Czyżby zwykli ludzie i byli opozycjoniści nie pamiętali „o zbrodniach, które zwalczyli?”. Dla polemistów, inaczej niż dla autora wstępu do „Księgi” Stephane’a Courtois, już tak w Polsce wysłużone pytanie o amnezję niewdzięcznego społeczeństwa było pytaniem bezprzedmiotowym.

Polemiści, prezentując ogólny pogląd — wręcz przeciwny — stwierdzali, iż pod względem genezy, programu i historii „wszystko różni komunizm od nazizmu”. W krajach europejskich, przeważnie wiejskich, pod rządami „komunistycznymi” — pisali — dopełniały się przeobrażenia struktur społecznych i ekonomicznych na miarę rewolucyjną nie tylko ze względu na

ich skalę, lecz i charakter. Współtworzyły one wielką szansę również dla Polski z lat 90. Przekształcały bowiem w pozytywnym kierunku świadomość społeczeństwa i — o paradoksie — elit „komunistycznych” do tego stopnia, że już w okresie przełomu „krajobraz społeczny był gruntownie zmieniony”. Z chwilą upadku komunizmu — przekornym zdaniem autorów — należałoby raczej mówić o społeczeństwach typu socjalistycznego niż o komunizmie, które „to słowo wykorzystuje się w sposób stronniczy”.

„Komunizm” — podkreślali wreszcie — ma swoją historię, zmieniał się. Po krwawym stalinizmie nastąpił komunizm zwany rewizjonistycznym (przypadek polski, 1956 r.), a następnie „socjalizm z ludzką twarzą” (przypadek czechosłowacki, 1968 r.) czy socjalizm konsumpcyjny (Węgry). W okresie przełomu „siły reformatorskie” w partiach komunistycznych opowiedziały się otwarcie za desowietyzacją i gospodarką rynkową, a prominenci z nomenklatury gospodarczej, rozporządzając kapitałem kulturowym i materialnym, potrafili „dostosować się do neokapitalizmu, a nawet negocjować i antycypować jego powstanie z pozycji siły”. Na tej drodze bardzo liczni prominenci szukali wyjścia z komunizmu, „wyjścia honorowego”; nie trafniej by było powiedzieć: wyjścia upragnionego? Ale to już oddzielny problem. Z komunistycznego aparatu — brzmiała konkluzja — będą się wywodzić zwycięzcy i zwyciężeni okresu przejściowego. Ci pierwsi mają słuszne prawo do współautorstwa przełomu.

Drugi, nie mniej krytyczny artykuł pióra prof. Anette Wiewiorka, odnosił się głównie do wstępu Stephane’a Courtois, który — jej zdaniem — pod szyldem „naukowości” po prostu proponował zastąpienie „w pamięci narodów zbrodni nazistowskich przez zbrodnie komunistyczne”.

Niejako przedłużenie dyskusji na osi: zwolennicy — krytycy historiozofii „Czarnej księgi komunizmu” stanowiły głosy Alain Besançon i Leszka Kołakowskiego. Wystąpienie pierwszego powtarzało tezy: komunizm w wersji bolszewickiej i narodowy socjalizm to bliźnięta dwujajowe. „Obie doktryny odwołują się do wzniosłych ideałów (...), a równocześnie z obu wynika prawo, a nawet obowiązek zabijania”. „Komunizm i nazizm były w równej mierze zbrodnicze”.

A jednak to nie były bliźniaki — polemizował w 1998 r. Leszek Kołakowski — bo już kryteria „klasy” i „rasy” obie ideologie zasadniczo dzielą. Komunizm ze swą ideologią przyciągał zupełnie innych ludzi niż faszyzm: takich, którzy naprawdę wierzyli w możliwość wyzwolenia ludzkości od trapiących ją plag — od nędzy, bezrobocia, prześladowań rasowych i narodowych, nienawiści, wojen. Jeśli nawet nowa wiara okazywała się kompletnym złudzeniem, to i tak wywoływała ona skutki nie znane nazizmowi; tylko w łonie komunizmu rodzili się jego krytycy i przeciwnicy. Tymczasem komunistyczni heretycy i dysydenci mieli odegrać ważną rolę w procesie, który podkopywał system od wewnątrz i spowodował jego ostateczny upadek.

Leszek Kołakowski, inaczej niż Mink i Szurek, nie brał słowa komunizm w cudzysłów. Niemniej ogólne pojęcie komunizmu było dlań prawomocne co najmniej analogicznie, jak prawomocne jest pojęcie esaków. Zatem tym razem i on sprzeciwił się skłonnościom do tego, by „dedukować rzeczywistą sytuację krajów komunistycznych z niezmiennej natury totalitaryzmu, nie zaś na podstawie analizy empirycznej”. Nie sądził, by można było tak mówić zasadnie o krajach tzw. demokracji ludowej czy tym bardziej o tym, że komunizm był równie zbrodniczy jak faszyzm. Podkreślał natomiast — czy nie po raz pierwszy od wielu wielu lat? — iż rozpoczynając od okresu tużpowojennego, w gospodarce, oświacie i szczególnie w kulturze tych krajów dopełniały się pozytywne przemiany na dotąd nieznaną skalę.

Ignorując wcześniejsze, nieomal chóralne, utożsamianie Polski powojennej ze sławetną „czarną dziurą”, pisał: „Niesprawiedliwe byłoby opisywanie [komunizmu] jako kulturalnie bezpłodnego (...). Komunizm jako formacja kulturalna pozostawił ślady nadal widoczne i bardzo ważne w historii literatury, poezji, kina, teatru, malarstwa”.

Również Leszkowi Kołakowskiemu jako nieoczekiwane i zadziwiające jawiły się sukcesy wyborcze tzw. postkomunistów w większości krajów, które opuściły „imperium zła”. Te i im podobne zjawiska — zauważał — „są niezrozumiałe w świetle teorii, która zakłada, że komunizm jest jednym blokiem i składa się z jednolitych i nieruchomych kamieni”¹³.

Co najogólniej i przynajmniej pośrednio wynika z analiz Czesława Miłosza, Staniszkis, Wałickiego, „późnego” Kołakowskiego oraz publikacji i wypowiedzi świeższej daty prof. Bronisława Łagowskiego czy prof. Andrzeja Werblana?

1. „Komunizm”, startując jako ideologiczny projekt (dogmat), przynajmniej do lat 80. przekształcał się w pozytywny, twórczy współczynnik polskiej rzeczywistości: gospodarki, oświaty, kultury, rozwoju samego społeczeństwa i narodu.

2. „Komunizm” mienił się zjawiskiem tragicznym, rozdzieranym sprzecznościami. Zwłaszcza początkowo czynił wiele zła, lecz nie dlatego, żeby bodaj zdecydowanej większości komunistycznych kadr nie stało dobrych, szlachetnych intencji czy nawet gotowości do osobistych wyrzeczeń, ofiarności na rzecz słabszych, krzywdzonych; nie dlatego też, że komuniści niczym ci papierowi bohaterowie ze stronic rozpraw historycznych byli dziećmi, niewolnikami jakoby z samej swej istoty złej, totalitarnej wiary. Działo się źle — dodajmy: również wedle standardów i w odczuciach ideowych komunistów — dlatego przede wszystkim, że opór polskiej, szczególnie tużpowojennej rzeczywistości stawiał ich w obliczu dylematu: albo poddać nowy ustroj, albo trwać, choćby i za cenę stosowania przemocy. A że poddanie się już ze względów geopolitycznych nie wchodziło w rachubę, więc trwali. Nie zapominajmy o właściwej mierze rzeczy; o ustrojowym kształcie i miejscu Polski w Europie przesądziły wyniki wojny, co nie oznacza oczywiście, że należy z góry rozgrzeszać wszystkich i wszystko, co było złe. Zachód to rozumiał i, jak powszechnie wiadomo, do czasu respektował.

3. Czy ludzie ideowi, nie wyłączając funkcjonariuszy odpowiedzialnych za państwowe organy siły i represji (wojsko, bezpieczeństwo, milicja, sądownictwo), jak choćby generałowie Wojciech Jaruzelski czy Czesław Kiszczak, rzeczywiście ustępowali tylko o tyle, o ile musieli pod naporem opozycji? To ujęcie również w narastającym odczuciu w społeczeństwie błędne i niesprawiedliwe; czy nie dlatego właśnie jest ono w historiografii tak mocno eksponowane? Cofanie się, a wreszcie i pokojowe przekazanie władzy nade wszystko tym się tłumaczyło, że pierwszy jej ideologiczny podmiot — robotnicy w większości wypadków lokowali się po drugiej stronie barykady. Władza, ale nie system — jak arbitralnie się twierdzi — traciła swą społeczno-ideologiczną legitymizację. Poddawano więc władzę, lecz — podkreślmy to — nie socjalistyczny system społecznych wartości. Z jakim skutkiem dla tychże samych robotników, „każdy widzi”. Lecz równie dobrze widać i to, że wynikające ze zmian wnioski nie każdy historyk uwzględni.

Uwaga końcowa. Zostaliśmy obdarowani kolejnymi wersjami historii cząstkowej. Otrzymaliśmy historię polityczną, pisaną na ogół w zgodzie z jej zideologizowanym wzorcem z przełomu lat 80. i 90. W relatywnie mniejszym stopniu dotyczy to książki Andrzeja Friszke (zdecydowanie mniej mamy tutaj skrajnych ocen, bliskich epitetom oskarżeń, namiętności, werbalnej ornamentyki). Ogólna kultura dzieła sprawia, że czyta się je z przyjemnością; gdyby tak jeszcze można było dodać, że i z satysfakcją na miarę tej spodziewanej, oczekiwanej. Niestety. I ono bowiem, choć wydane po 14 latach nowych doświadczeń, w warstwie analiz i syntezy nie wykroczyło zasadniczo poza kanony już zużytego, interpretacyjnego schematu. Modna dziś historiografia nie wzniosła się ponad świat interesów i wyobraźni elit. Natomiast rzeczywiste powojenne dzieje społeczeństwa i narodu ciągle czekają na opracowanie.

¹³ Zob. szerzej: H. Słabek, *Inaczej o historii Polski 1945–1989*, s. 224–231.